

# APLIKACJA



Paweł Beręsewicz

# APLIKACJA

Wydawnictwo Skrzat  
Kraków



# PROLOG

**G**łówny Programista zasiadł do klawiatury. Rozgrzał palce, chrupnął piątym kręgiem szyjnym i zaczął. Niech będzie coś – zaprogramował. Coś i już więcej nic. Niech to będzie wszystko. Niech się rusza i zmienia. To było i tak dużo jak na pierwszy dzień programowania.

Drugiego pracował nad tym, jak wszystko ma się ruszać i zmieniać. Niech się dzieli i łączy. Niech się przyciąga i odpycha. Niech się ściska i rozpręża. Niech przybiera kształty i niech się rozpada. Męczący to był dzień w pracy, ale i tak spacerek w porównaniu z dniem trzecim.

Trzeciego dnia Główny Programista dopisał: „Niech część wszystkiego ożyje!”. Uf, jakie to było trudne! A dalej wcale nie zrobiło się źlej.

Niech żywe rodzi się i umiera – to było dnia czwartego. Niech chce żyć. Niech z pokolenia na pokolenie przekazuje tajną wiadomość. Niech się wzmacnia i doskonali.

Piątego dnia Główny Programista dopisał najznakomitszy fragment kodu. Niech z wielu prób, błędów



i poprawek zrodzi się ktoś taki jak ja – no, prawie taki jak ja. Niech myśli, czuje, mówi. Niech cieszy się tą Aplikacją. Lub niech ją skasuje.

Na szósty dzień zostawił sobie wkłady. Maleńkie programiki dołączane do indywidualnych katalogów wszystkim nowo uruchamianym aplikantom. Każdy inny – miliardy.

Siódmego dnia Główny Programista odchylił się na krześle i przeczytał uważnie cały napisany przez tydzień kod. Kiedy skończył, uśmiechnął się zadowolony i wcisnął **Enter!**



## ROZDZIAŁ

# PIERWSZY

**S**amochód, który kilka metrów dalej zatrzymał się przy krawężniku, nie wyróżniał się niczym szczególnym, a mimo to Franek poczuł, że nie ma w tym przypadku. Nie to, żeby się czegoś obawiał, spodziewał czy na coś liczył – ot, zwykły przebłysk intuicji, który zresztą oczywiście zignorował. Kiedy tylne prawe drzwi otworzyły się, przegradzając znaczną część chodnika, po prostu łagodnym łukiem zboczył z kursu, żeby ominąć przeszkodę.

– No dobra, Oskar, to o której? – rzucił w głąb przytkniętej do ucha komórki.

Nie doczekał się odpowiedzi. Nagłe uderzenie w łokieć wytrąciło mu telefon. Ostro pachnąca szmata zakryła usta, a czyjeś silne ręce wciągnęły mdlejące ciało do wnętrza samochodu.

– Hej! Co to za hałas? Jesteś tam, Młody? – pytał zaniepokojony głos gdzieś spod podwozia.

Opony potoczyły się po asfalcie, chrupnął miążdżony plastik.



## ROZDZIAŁ

# DRUGI



**W**przeszklonym holu biurowca World Enterprise panował mrok. Niewielki półokrąg światła wygradał z ciemności marmurowy blat recepcji i pas podłogi tuż przed nią. Dwa obrotowe fotele za ladą stały puste, ale przez uchylone drzwi zaplecza sączyła się cicha muzyka. Sinclair Novitzki, czterdziestopięcioletni pracownik ochrony, któremu tego dnia przypadła nocna służba, siedział na odchylonym krześle, oparłszy nogi o pulpit systemu monitoringu. Rozpięta granatowa kurtka munduru niedyskretnie odsłaniała lekko zaokrąglony brzusek, a odłożona na bok czapka chwilowo nie strzegła sekretu łysego placka na czubku głowy. Krzesło kołysało się lekko na tylnych nogach w swingującym rytmie melodii nadawanej przez radio w audycji dla nocnych marków. Przed oczami Sinclaira to rósł, to malał wielki ekran podzielony na osiem prostokątów, z których każdy wyświetlał obraz jednej z kamer przemysłowych zainstalowanych na terenie biurowca. Rosły więc i malały nieruchome kadry z opustoszałym parkingiem, bramą wjazdową,



klatką schodową, tarasem dla palaczy, bezludnymi korytarzami i oczywiście Drzwiami. Właśnie tak – wielką literą.

W budynku znajdowały się wprawdzie dziesiątki zamkniętych pomieszczeń, ale kiedy w World Enterprise padało słowo „drzwi”, było więcej niż prawdopodobne, że chodziło o TE Drzwi. Białe, lite, z szarą plastikową klamką, nieoznaczone numerem ani tabliczką informacyjną. Nie wyróżniałyby się niczym szczególnym, gdyby nie imponująca kolekcja zabezpieczeń – począwszy od staromodnej sztaby, kłódki i ołowianych pieczęci, a skończywszy na siatce laserowych promieni. Drzwi te, jak głosiła korporacyjna legenda, pozostawały zamknięte od dnia, w którym Główny Programista zakończył pracę nad Aplikacją.

„Zaprogramowane. Niech działa. Nie ruszać!” – miał ponoć powiedzieć, kiedy po siedmiu dniach pracy, błądy i z podkrążonymi oczami stanął na progu pokoju.

Zamknął za sobą Drzwi i od tej pory podobno nikt ich już nie otwierał. Sinclair Novitzki był tu po to, żeby nie otwarto ich i tej nocy.

W radiu cicho bzyczał saksofon, wzrok ochroniarza snuł się błędnie po monitorach, a myśli bujały gdzieś daleko, nad rybną rzeką Bianco, w miejscu, gdzie bystry prąd w zakolu poderwał lewy brzeg i korzenie cienistej wierzby sterczały gołe z piaszczystej skarpy. W liściach szeleścił ciepły wietrzyk, a niebieskie ważki przysiadły na spławiku i ledwo zdążyły zerwać się do lotu, zanim ten dawał nura wciągnięty pod wodę



zębata paszczą szczupaka lub okonia. W turystycznej lodowce czekały kiełbaski i szaszłyki do upieczenia na grillu, a...

Zawyło przeraźliwie! Sinclair drgnął i omal nie poleciał do tyłu. Tylko rozpaczliwemu wymachowi rąk zawdzięczał, że krzesło spadło na cztery łapy. Przestraszony odepchnął się od pulpitu i skoczył na równe nogi. Czerwona lampka pod sufitem to zapalała się, to gasła. Alarm jazgotał jak oszalały. Jeden z kadrów na monitorze przeniósł się ze swojego zwykłego miejsca na środek ekranu i pulsował jaskrawą obwódką. Nie ten z Drzwiami na szczęście. Tamten, odsunięty gdzieś w kąt, drzemał nieruchomo i nie dawał powodów do obaw. Niepokojące rzeczy działy się gdzieś indziej. Novitzki zmrużył oczy i przyjrzał się pulsującej ramce.

- Korytarz na pierwszym piętrze? - mruknął z niedowierzaniem.

Przebiegł w myślach rozkład pomieszczeń w tej części budynku. Sekretariat, salka konferencyjna, toalety, kuchnia - po co komu nocna wizyta w takim miejscu? Pospiesznie zapiął guziki munduru, nasadził na głowę czapkę, wsunął paralizator do pokrowca przy pasie i ściskając w ręce długą masywną latarkę, wyszedł do ciemnego holu. „Windą czy schodami?” - pomyślał. Wybrał to drugie. Z klatki schodowej słyszał dzwonek windy, z windy kroków na schodach nie. Idąc, ma się większe pole manewru.

Na pierwszym piętrze zatrzymał się i spojrzał w głąb korytarza. Białe światło podłużnych lamp



w podwieszonym suficie oświetlało wąską, nieruchomą przestrzeń. Sygnał alarmowy z wartowni nie docierał w to miejsce. Najmniejszy szelest nie mącił nocnej ciszy. Sinclair ruszył ostrożnie po szarej wykładzinie. Szedł od drzwi do drzwi, przyglądając się zamkom, klamkom i szparom przy podłodze. Wszystko wyglądało jak zwykle. Ot, biurowy korytarz o trzeciej nad ranem. Ani śladu nieproszonego gościa. Zajrzał do męskiej łazienki, potem z pewnym wahaniem do damskiej – w obu ciemność i cisza. Przeszedł jeszcze dwa kroki i nagle poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

Tuż za toaletami mieścił się składzik na mopy i środki czystości. Odkąd pracował w Korporacji, Sinclair zaglądał tam dwa, może trzy razy. Nie było potrzeby częściej. Komórka dwa na dwa metry, metalowe regały, zlew, w rogu odkurzacz do prania wykładzin – ostatnie na liście miejsc odwiedzanych przez służby ochrony.

Drzwi do schowka były uchylone. Właściwie nie do końca zamknięte. Dolna krawędź przecinała wzór na wykładzinie ledwie widocznym skosem. Novitzki machinalnie sprawdził ręką pokrowiec przy pasie. Szorstka kolba tasera napawała otuchą. Delikatnie popchnął łokciem drzwi komórki, aż między skrzydłem a framugą pojawiła się szpara. Czarna. Wewnątrz musiało być ciemno. Pchnął śmieiej, zajrzał do środka i poświecił latarką. Pomieszczenie wydawało się puste, ale uwagę Sinclaira zwróciło nietypowe ustawienie regału, na którym trzymano zapasy ręczników, papieru toaletowego i mydła. Metalowy mebel



stał skosem, wciągnięty o pół metra w głąb komórki, a odsłoniętą w ten sposób ścianę rozcinała pionowa świecąca kreska. Novitzki kilkoma ostrożnymi krokami, modląc się, żeby nie kopnąć w ciemności wiadra albo mopa, podszedł nieco bliżej jasnej pręgi. Stąd już zobaczył dokładnie. Światło sączyło się przez szparę w niedomkniętych suwanych drzwiach prowadzących do pomieszczenia, o którego istnieniu najwyraźniej zapomniano poinformować pracowników ochrony. Za przegrodą cicho, ale wyraźnie stuknęła klawiatura. Sinclair wsunął latarkę w uchwyt przy pasku i zwolnioną ręką sięgnął po paralizator. Tak uzbrojony wśliznął się w puste miejsce między regałem a ścianą. Przez chwilę stał, nasłuchując, a potem ostrożnie przytknął oko do szczeliny. W wąskim paseczku widnej przestrzeni zobaczył ciemny zarys czyichś pleców. Ktoś stał tyłem do wejścia, pochylony nad jakimś zajęciem. Sinclair ostrożnie wymacał uchwyt w drzwiach, szarpnął w prawo i wskoczył do środka.

– Stać, nie ruszać się! – wrzasnął.

Postać podskoczyła jak oparzona i odwróciła się gwałtownie. Męska sylwetka, twarz w kominiarce, na biurku komputer, na ekranie rzędy znaczków – jedynym rzutem oka zarejestrował Novitzki. Wyciągnął ostrzegawczo rękę z taserem i spytał ostro:

– Co to ma znaczyć?

Intruz zawahał się, po czym zrobił coś, czego Sinclair najmniej się po nim spodziewał: odwrócił się do komputera i jeszcze kilkakrotnie przebiegł palcami po klawiaturze. Zaskoczony Novitzki na mgnienie

oka stracił inicjatywę. To go zgubiło. Kiedy parę sekund później ponownie zobaczył zamaskowaną twarz, w stronę jego podbródka z przerażającą prędkością pędziła już pięść w czarnej rękawiczce. Czasu na reakcję nie było.

